

Wojciech Stanisławski: Nieufność i zgryzoty

W XVIII-wiecznej Rzeczpospolitej prawosławie postrzegane być mogło jako wiara „ruska” – w sposób jednak hasłowy i nieciągły. U progu XX wieku utożsamienie Rosji/Rosjanina z prawosławiem, a prawosławia z rosyjskością wydaje się być oczywiste – ze szkodą dla wszystkich zjawisk i osób niepasujących do tego wzoru – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Ikony świętości. Prawosławni męczennicy Rzeczypospolitej”.

Skala wzajemnych uprzedzeń, obaw i niechęci duchownych Cerkwi Prawosławnej oraz elit politycznych II RP była tak duża, że naprawdę można dziwić się i cieszyć, że nie skutkowało trwałym zerwaniem więzi, likwidacją samej możliwości istnienia takiej formacji jak „polskie prawosławie”.

Oczywiście, historyk skłonny jest uznać, że u początków rozbratu stoi nieszczęsny rozłam z roku 1054 i że właściwie rozgrzesza on wszystkich późniejszych aktorów relacji między Rzymem a prawosławiem. Oczywiście, stoi u początku – i można dodać, że na innych obszarach przenikania się i rywalizacji tych dwóch porządków (choćby na Bałkanach Zachodnich) napięcia między wyznawcami mają dłuższą historię niż na ziemiach polskich i ostatecznie okazywały się bardziej krwawe.

W przypadku Rzeczypospolitej jednak rywalizacja i konflikt wyznań bardzo wcześnie zyskała kontekst już nie polityczny (od tego rzadko kiedy bywała wolna), lecz geopolityczny – wiążąc się z coraz poważniejszymi zagrożeniami dla państwa ze strony Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, a następnie Carstwa.

Uwagi poniższe poświęcone są horyzontowi II RP, nie sposób omawiać w nich kilkuset lat współistnienia wyznań w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Nie sposób jednak nie wspomnieć o kilku choćby punktach zapalnych, i o tym jak – niczym kolejne uderzenia w zranione już miejsce – kolejne spory umacniały wzajemną nieufność.

Same dramatyczne okoliczności przyjęcia / narzucenia Unii Brzeskiej są dość szeroko znane. Co oznaczało zbliżenie z Rzymem milionów wyznawców grekokatolicyzmu – wiązało się dla „dyzunitów” nie tylko z obniżeniem ich statusu, ale wręcz odebraniem ich Kościołowi prawomocności. Już podczas powstania Nalewajki (1594) i aż do czasów buntu Gonty i Żeleźniaka niepokoje kozackie wykorzystywane były dla torpedowania lub osłabienia Unii. Gdy zaś w 1624 nowo wyświęcony (dodajmy, jeśli się godzi to słowo – fortelem!) metropolita kijowski Hiob zwróci się do Michała Romanowa z apelem „modlimy się do sławnego carstwa twego, żebyś nas zechciał wziąć pod skrzydła twej wielkiej potęgi” – można uznać, że supeł złych lojalności został zawiązany. I nie zmieniły tego *pacta conventa* Władysława IV. Wystarczy kolejnych 60 lat, by kolejny metropolita kijowski, Gedeon Czetwertyński, udało się po błogosławieństwo patriarsze do Moskwy – a w rok później podporządkowanie duchowieństwa prawosławnego Moskwie sankcjonuje niesławny pokój Grzymułtowskiego. Oczywiście,

nie stałoby się to bez osłabienia patriarchatu Konstantynopola, bez ówczesnego konfliktu między Rzplitą a Portą. Jak to w historii: wszystko wiąże się ze wszystkim.

Jeszcze kilkadziesiąt lat i Rosja zaczyna w pełni korzystać z danych jej przewag: wspierając innowierców i zobowiązując do podobnych działań Prusy, interweniując zbrojnie (jeszcze przed pierwszym rozbiorem!) przeciw unitom, aresztując biskupów, wizytujących unickie parafie...

Oczywiście, przyczyną było podporządkowanie struktur Cerkwi Moskiewe. Stosunkowo mało znany jest fakt, że u schyłku I RP, w cieniu Sejmu Wielkiego podjęto próbę usamodzielnienia jej struktur. Nie padł jeszcze termin „autokefalia” – ale podczas zwołanej na 15 czerwca 1791 roku kongregacji w Pińsku dyskutowano kwestię całkowitej jej niezależności, uznającej jedynie autorytet patriarchy w Konstantynopolu.

To bilans u progu utraty niepodległości – a w chwili jej odzyskania? Pamięć zsyłek i prześladowań. Kaźni, zamykania klasztorów i kościołów. Męczeństwa unitów. A przede wszystkim – forsownej, agresywnej rusyfikacji, dokonywanej również przy pomocy struktur Cerkwi. Stawiania dziesiątków cerkwi w trybie demonstracji politycznej – Sobór na Placu Saskim jest tego roboczym przykładem, ale przecież podobnych stylem i intencją budowli urygowano na ziemiach Priwisańskiego Kraju kilkadziesiąt.

Działo się to w sytuacji „przebudzenia narodowego” i mocniejszej niż kiedykolwiek dotąd samoidentyfikacji etnicznej. W XVIII-wiecznej Rzeczypospolitej prawosławie postrzegane być mogło jako wiara „ruska” – w sposób jednak hasłowy i nieciągły. U progu XX wieku utożsamienie Rosji/Rosjanina z prawosławiem, a prawosławia z rosyjskością wydaje się być oczywiste – ze szkodą dla wszystkich zjawisk i osób niepasujących do tego wzoru.

Tyle, że w przypadku wyższej hierarchii prawosławnej powracającej, po etapie „bieżeństwa”, na ziemi już niepodległej Polski, rosyjskie pochodzenie i przywiązanie do rosyjskiej racji stanu, gotowość do walki o „rząd dusz” rzeczywiście ma znaczenie. Projekty prawnego umocowania autokefalii Cerkwi Prawosławnej spotykają się z oporem, a w najlepszym razie z obojętnością. Władze zmuszone są dymisjonować (dokładniej, cofać zgodę na *locum tenens*) kolejnym duchownym. Dochodzi do sytuacji tak gorszących, jak zamordowanie metropolity warszawskiego Jerzego przez archimandrytę Smaragda (Łatyszenkę) w roku 1923 (do dziś nie ma pewności, czy zabójstwo to nie było w jakiś sposób inspirowane przez stronę mińską lub moskiewską). Akcja burzenia „budynków wzniesionych z motywacji politycznej”, jak Sobór zostaje – co oczywiste – bardzo źle przyjęta przez wyznawców prawosławia. A przecież to tylko prodrom do trzech aż tzw. akcji rewindykacyjnych, w wyniku których zburzonych lub odebranych cerkwi zostało ponad 500 świątyń.

Powszechnie pamiętana jest tylko trzecia, najbrutalniejsza akcja podjęta w latach 1937-1938 – akcja będąca dowodem lęków, nieumiejętności radzenia sobie z ukraińską irredentą i utopijnego projektu „repolonizacji obszarów na zachód od Bugu”. Dwie

wcześniejsze akcje – „epuracja” lat 1919-1924, częściowo organizowana siłami państwa, częściowo oddolna – oraz fala pozwów sądowych uruchomiona przez kilku biskupów, domagających się zwrotu blisko ośmiuset budynków – w polskiej pamięci zbiorowej się nie zachowały. Zachowały się – wśród prawosławnych. Zdarza się w Polsce sporo pomników chybionych, niepotrzebnych lub zwyczajnie szpetnych – ale nie ma chyba bardziej bolesnych niż stojące na Podlasiu krzyże czy kapliczki, upamiętniające burzone (często przez więźniów na robotach przymusowych lub strażaków) cerkwie.

Oczywiście: wielkim krokiem naprzód było uregulowanie kwestii autokefalii, nadanie jej polskiej cerkwi, za zgodą patriarchy Konstantynopola, w listopadzie 1924. Tyle, że powstałe w ten sposób struktury bywały (choć nie na taką skalę i tak powszechnie, jak w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej) narzędziami infiltracji. Czasem – w duchu „wielkorosyjskim” (w autokefalicznej Cerkwi zdarzali się oponenti autokefalii, żywa była wśród duchownych chęć przeciwstawiania się „ukrainofilskim mrzonkom”). Ba, zdarzało się, że i prosowieckim..

W takich okolicznościach wybrać los prawosławnego kapelana – szczerego wobec swoich wiernych, lojalnego wobec państwa i armii – tak, to droga niełatwego, szlachetnego wyboru.

Wojciech Stanisławski

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”
[502]: „Ikony świętości. Prawosławni męczennicy
Rzeczypospolitej”**

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
